

BÓG W BRZUCHU

ALEKSANDRA KONIECZNA, AKTORKA:

W mojej sypialni wisi ikona świętych bliźniaków: Kosmy i Damiana. Przed zaśnięciem złapałam się na tym, że puszczam do niej oko i mówię: „żeby mi było bez koszmarów!”.

KATARZYNA KUBISIOWSKA: Święta, które szczególnie Pani zapadły w pamięć?

ALEKSANDRA KONIECZNA: Śmierć z przejedzenia. Mieliśmy z bratem po kilkanaście lat. Upadliśmy po wigilii na kanapę. Otworzyliśmy okno. Miałam wrażenie, że umieram. Śmierć z przejedzenia. Ładnie. Co o mnie pomyśla? Było to całkiem serio. Strach, że nie wezmę następnego wdechu. Czyli początek mistyki. Wczesnej.

To się dzieje w Pani rodzinnym Prudniku?

Tak, Prudnik. Dwanaście dań musowo, jak apostołów. Oczywiście wegańska dieta do pasterki. I pasterka dla wytrwałych. Albo w kościele pw. św. Michała w Prudniku, albo na klasztoru ojców franciszków, za miasteczkiem. Tę wolałam, bo w lesie, na świeżym powietrzu, i aura historyczna, bo tam więziono kardynała Wyszyńskiego przed Komańczę w Bieszczadach. Ale dużo napitych. To mnie rozwalało.

Babcia i dziadek jeszcze, ubrana choinka kiedyś prawdziwa, z czasem sztuczna, fuj. Prezenty pod choinką, dopiero po jedzeniu, także dla kotów, psów, bo było ich sporo. I obłędna kutia babci Róży. Danie ze wschodu, bo chociaż Prudnik, ale my przyszliśmy ze Wschodu. Więc ta kutia obłędna. Namaczana kilka dni pszenica i mak, dużo miodu, bakalii, mandarynek. Słodka, a zarazem kwaśkowata. Mam w ustach ten smak „na pstryk”.

Jak to było z tym Wschodem?

Moja rodzina mieszkała w powiecie Buczacz nad Bugiem. W 1947 r. spotkali się w Prudniku, ziemie odzyskane, przed wojną Neustadt. Babcia była Polką, jej mąż Ukraińcem. Zakochali się i poślubili na Wschodzie. W Prudniku przyszło im żyć po wojnie. Niełatwe życie, zwłaszcza dla niego. Polacy na Wschodzie wiele wycierpieli od Niemców, ale prawdziwą orgię przemocy zrobili Ukraińcy. Więc, jak dziadek tu przybył i padło po wódce „ukraińskie nasienie”, dom potrafił się zatrzęść.

Babcia bardzo dobrze gotowała. Jej zakwasy buraczane i przez to smak barszczu obłędnie wspaniały. Zakwasy z mąk: pszenicznej, żytniej i przez to białe barszcze i zalewajki, niemające sobie równych.

Pamięta Pani siebie z tamtego czasu?

Dziewczynką byłam grzeczną, pilną, „piątkową”. Ale też maskotką. Moja młodsza siostra zapytała kiedyś przy dużym rodzinnym przyjęciu: „Robimy tak jak zawsze?”. „Czyli jak?” – zapytałam. „Że ty rozśmieszasz, a ja zmywam”. Stałam na piecu, zakładałam na głowę białe rajtuzy, że niby warkocze, machałam nimi w prawo, lewo, i śpiewałam głośno: „Cebula staniała, za cóz ja se bende warkoce sprawiała / Za cóz ja se bende warkoce sprawiała!!!”.

Śmiali się?

Śmiali. Lubiłam to bardzo. Rozbrajałam wszystkie napięte sytuacje.

Poczułam wtedy, że mam coś, co działa, zawraca bieg rozmów: „Popatrz, popatrz na nią!”. Czułam się sprytna i skuteczna.

Wpływowa?

Tak. Ale kiedy zaczęłam dojrzewać, przestałam być grzeczna. Nocami czytałam poezję Leśmiana, Norwida, Brandstettera... Do szkoły nie wstawałam, mamę wzywali. Chciałam sprawiać innym kłopot. Snułam się po okolicznych lasach, wyobrażając sobie siebie jako podmiot liryczny czytanych wierszy. Z gałęzi krzyż sobie zbiłam, z białego kordonka uplotłam warkocz, taką kompozycję. Krzyż-warkocz nad łóżkiem sobie powiesiłam.

O!

Mieliśmy działkę, ogródki działkowe. Zaczęli je nocą pilnować, bo były kradzieże. Wiedziałam o tym i wymyślałam się z domu kraść na ogródkach. Latarka, kalosze, wiadro przy łóżku. Już to widziałam: wiadro pełne truskawek sąsiada, łapią mnie, przed oblicze rodziców zaprowadzają. Nieludzki wstyd, rozkosz →

ALEKSANDRA KONIECZNA (ur. 1965) była aktorką teatrów w Warszawie: Współczesnego, Dramatycznego, Rozmaitości. W 2004 r. debiutowała jako reżyserka. Ostatnio zagrała m.in. Zofię Beksińską w „Ostatniej rodzinie”, Igę Cembrzyńską w „Jak pies z kotem” i Kościelną w „Bożym Ciele”.



→ wstydu. Nigdy się nie udało. Nie złapali mnie.

Może i dobrze.

Pierwszy film w DKF w Prudniku. „Odwet” Tomasza Zygadły. Ogromne wrażenie. Po nim nie chciałam dorośleć. A potem, już w liceum, śp. prof. Andrzej Pajor rozbudzał w nas miłość do literatury i teatru. Nie było konsterny, gdy Miłosz dostał Nobla. W innych klasach poruta, popłoch polonistów, co uczniom powiedzieć? Jaki Miłosz? A myśmy Miłosza znali. Profesor Pajor sam przynosił jego książki na lekcje. I zabierał nas do Krakowa, do Starego Teatru. Obejrzałam Wajdy „Noc listopadową” z Janem Nowickim i Teresą Budzisz-Krzyżanowską, Jerzego Jarockiego „Ślub” z Jerzym Radziwiłowiczem i Jerzym Trelą. Obłęd! Oni ukształtowali mój gust teatralny.

A kluczowe zdarzenia w Pani życiu?

Śmierć mojej prababci Julii Tchorowskiej z domu Kasjan. Prababcia mnie wychowywała. Oprócz mamy, oczywiście. Ale prababcia była w domu. Miała dla mnie bardzo dużo czasu, czułość i dotyk. Pamiętam zapach jej skóry. Lekko słodkawym. W tym roku, w lipcu, gdyby żyła, miałaby 130 lat. Wiedziałam, że jeśli kiedyś będę miała córkę, dostanie imię Julia, po prababci właśnie. I tak jest. Na dwóch przeciwległych ścianach mego salonu wiszą „dwie Jule”. Prababcia i córka. Duże, pięknie opravione.

A córka?

Los odmieniony. Odkąd jest na świecie, odtąd potrzebna jestem komuś na zawsze. Czytałam gdzieś, że to się nazywa macierzyństwo egzystencjalne. Tak może być w moim przypadku. I jeszcze przejście na prawosławie. Wskutek objawienia. Brzmi efektownie, wiem. Ale taka prawda i proszę nie pytać o szczegóły. Proszę uwierzyć lub nie.

Proszę opowiedzieć więcej o tym prawosławiu.

Najpierw opowiem, co się zdarzyło w 1991 r. Wtedy pojęłam, że każda rola przychodzi po coś, w odpowiednim czasie, a na pewno nie jest przypadkiem.

Jestem świeżo upieczoną aktorką, gram matkę Marcela Prousta w „Ach, Combray...” w reżyserii Waldemara Matuszewskiego w Dramatycznym. To adaptacja ostatniego tomu z „Czasu odnalezionego”.

Marcel grany przez Jarka Gajewskiego, z łoża śmierci widzi swoją przeszłość, a w niej młodą matkę, Żydówkę. Jest tam piękna scena, jak do kościoła w Combray pod Paryżem wchodzi cała rodzina i ta matka, mimo że Żydówka, żegna się po katolicku. Na próbie generalnej dyrektor Maciej Prus wywołał mnie ze sceny i mówi: „Pani Olu, może to jest pani drogie, ale po co nam taka prowokacja?”. Ja: „Jaka?”. On: „Przecież pani kreśli prawosławny krzyż, a ona była Żydówką w katolickiej rodzinie”. Ja: „Kreślę prawosławny krzyż?...”.

Dzwonię do mamy. Mówię: „Przeżegnaj się”. Ona: „Zwariowałaś?” Ja: „Mamo, przeżegnaj się i powiedz mi, w którą stronę krzyż się odwiesza”. Ona: „W lewo”. Ja: „A czemu ja to robię w prawo? Przez to mam teraz kłopoty w teatrze”. Ona: „Może jak myśmy cię z babcią uczyły, to jak odbicie w lustrze nas potraktowałaś?”.

Ciekawe, jak było naprawdę.

Może prawosławie upomniało się o mnie z jakichś innych powodów?

Jak je praktykuję? W Warszawie chodzę do cerkwi Marii Magdaleny. Ale dbam o to, by w katolickie Boże Narodzenie w moim domu była choinka, prezenty i zasiedli przy jednym stole ludzie sobie bliscy. Ale 7 stycznia sama idę do cerkwi. Przybywa w moim mieszkaniu obrazków świętych Kościoła prawosławnego. Moja córka, która jest agnostyczką, wracając z greckiej wyspy Angistri, powiedziała do znajomego: „Muszę mamie na prezent kupić święty obrazek”. „A ile twoja mama ma lat? Czy to stara baba?” – zapytał znajomy. (śmiech)

Którego świętego lubi Pani najbardziej?

Paisjusza – to ważna głowa Kościoła prawosławnego, człowiek XVIII wieku. Mimo problemów zdrowotnych oddawał się ascezie, postom, całonocnym czuwaniom, a za dnia przyjmował ludzi przychodzących do niego po rady – pocieszał ich i wspierał w walce z problemami. Po jego śmierci, wśród jego rzeczy znaleziono karteczkę, na której było napisane, że on, mnich Paisjusz, przyjrzał się swojemu życiu i zobaczył, iż złamał wszystkie przykazania Boże, dopuścił się wszystkich grzechów i prosi o wybaczenie i modlitwę, by Chrystus zmiłował się nad nim. A ja sama trałam kiedyś na modlitwę kontemplacyjną mnichów i od-

mawiam ją od wielu lat. Nazywa się hezychazm, czyli z greckiego spokój.

Katolicyzm nie był dla Pani wystarczający?

Nie był. W mojej rodzinie katolicyzm był taki jak w większości Polski – rytualny, wydmuszkowy: w życiu codziennym w rozjeździe z tym, co jest w Biblii. Proszę spojrzeć, jaka różnica jest w samej architekturze: kościoły katolickie są strzeliste, jakby Bóg był poza zasięgiem człowieka – wysoko, ponad wieżami. A cerkwie mają kopuły, które Boga wewnątrz utrzymują. Prawosławni wierzą, że Boga mają w brzuchu.

Pani ma Boga w brzuchu?

Mam. Bywają momenty trudne i czuję gniew. Ale Bóg nie przechodzi wtedy do innego brzucha. Nie muszę być grzeczna, żeby mieć Boga w brzuchu.

W mojej sypialni wisi ikona świętych bliźniaków: Kosmy i Damiana. Przed zaśnięciem złapałam się na tym, że puszczam do niej oko i mówię: „żeby mi było bez koszmarów!”. (śmiech)

Pani powiedziała, że każda rola przychodzi w odpowiednim czasie. Czy to samo dotyczy Kościelnej – granej przez Panią katoliczki – z „Bożego Ciała” Jana Komasy?

Znam sporo takich kobiet jak Kościelna. I to nie chodzi wyłącznie o wiarę. Sama miałam moment w życiu, kiedy byłam na najlepszej drodze do stania się Kościelną.

Kiedy?

Miałam ortodoksyjny stosunek do kłamstwa, taki czarno-biały. Biel uznawałam za normę, czerń przekreślała wszystko, rozwalala mnie psychicznie, niszczyła zaufanie. Upadała konstrukcja, choćby to była wielopiętrowa wieża w Pizie, choćbym znała kogoś wiele lat i dołądziła wspaniałe relacje. Byłam ekstremalna, nie miałam w sobie wyrozumiałości dla błędów. Dla ludzi musiało być to męczące. Bo człowiek często jest słaby, zmęczony, wstydi się, traci uważność i wtedy popełnia błędy. Wyzwaniem dla mnie było to, by odpuścić ludziom. Ale najpierw musiałam odpuścić sobie.

Jak?

Prosty przykład: moje spóźnianie się. Wystarczyły sekundy, by narastało we

mnie napięcie nie do zniesienia, związane z tym, że po drugiej stronie osoba poczuje się przeze mnie zlekceważona. W każdym razie obniżyłam wymagania wobec siebie i z automatu do innych. To proces, który zachodził we mnie przez ostatnie lata – z trzeciego levelu wygórowanych oczekiwań zesłam na pierwszy. Chyba teraz ludziom żyje się ze mną lepiej.

A rola Igi Cembrzyńskiej w „Jak pies z kotem”, opowieści o rodzinie Kondratiuków? Reżyserem był Janusz Kondratiuk, który ten film nakręcił po śmierci brata Andrzeja.

Janusz doprowadził swój film do ostatecznej montażowej formy i zapadł w śpiączkę. Zmarł w październiku tego roku.

Filmowa Iga, żona Andrzeja, to kobieta, która nie radzi sobie z najprostszyimi życiowymi sprawami, w tym z opieką nad ukochanym.

Ona też utemperowała we mnie ortodoksa, który myśli, że miłość to jest odpowiedzialność, a odpowiedzialność to jest miłość. Jeśli nie ma odpowiedzialności przy miłości, to nie można tego uczucia uznać za miłość.

Bo jeśli ja kocham, to wykupuję recepty, a nie dokupuję wina, by się napić, a potem ułożyć piękną piosenkę z miłości dla miłości, wierząc, że w ten sposób uzdrowi się ukochanego mężczyznę. Natomiast nie mam żadnych wątpliwości, że Andrzeja i Igę łączył prawdziwie silny, miłosny związek. Nie ubrdałabym sobie jakiejś innej definicji typu, że to było współzależnienie czy inny rodzaj toksycznej więzi. Ludzie lubią popsychofizować, wydaje im się, że mają ku temu narzędzia, włożą sobie do szuflady czyjeś życie, ponazywają i mają z głowy, czują się z tym tak bardzo mądrze. Dzięki filmowej Idze już nie myślę, że odpowiedzialność jest obligatoryjną częścią miłości.

Czyli?

Czyli, że ja nadal będę wykupować recepty (*śmiech*). Ale też wiem, że ci, którzy ich nie wykupują, potrafią być ludźmi mocno kochającymi. Kiedyś wpadła mi w ręce książka o codziennej medytacji dla kobiet, gdzie autorka pisze, że były dwie Marie przy Jezusie – Maria Magdalena i Matka Boska. I Matka Boska zawsze wszystko załatwiała na czas, „wykupywała recepty”, była niezawodna, solidna,

Przeszłam na prawosławie

wskutek objawienia.

Brzmi efektownie, wiem.

Ale taka prawda i proszę nie pytać o szczegóły.

Proszę uwierzyć lub nie.

do końca pod krzyżem klęczała. A Maria Magdalena kręciła się koło Jezusa i, jak wracał zmęczony, to miała czas, by z nim posiedzieć, by z nim porozmawiać, by dotknąć jego głowy, by posmarować bolejące miejsca. Każda z tych Maryj inaczej niosła wsparcie. Polecenie autorki książki brzmi: wybierz świadomie, którą Marią chcesz być.

To jest coś, co mi zaczęło uświadamiać razem z rolą Igi Cembrzyńskiej, że warto czasem być Marią Magdaleną.

A w „Ostatniej rodzinie” rola Zofii Beksińskiej, żony Zdzisława, matki Tomasza?

I mnie, i reżyserowi – Jankowi Matuszyńskiemu – zależało, by pokazać, że ona świadomie podjęła decyzję podania się tym dwóm mężczyznom jej życia. Z tego powodu dostała bardzo wiele zła, ale też przyszło sporo profitów. Maria Turlejska, z którą się przyjaźnił Beksiński, w korespondencji z nim gdzieś pisała słowa kierowane do niej: „Zosiu, jesteś świetną żoną, Zdzisiu lepszej nie mógł sobie wyobrazić”. I ona odpisała w kilku słowach: „Bardzo mi jest miło, tylko, że uważam, że taka wielka osobowość jak Zdzisiek powinna mieć przy sobie drugą osobowość. A ja jestem nikim, może najwyżej kulą u nogi, może mam tylko taki walor jako żona, że się nie skarżę, nie mam pretensji, jak pamiętają o mnie, to dobrze, jak nie pamiętają, to też dobrze i jakoś życie leci”.

Skóra cierpnie.

A ja właśnie sobie sędzę, że to była wielka jej siła. Jak to przeczytałam, to zrozumiałam, że Zosia jest stoikiem – wierna filozofii dziś niemodnej wśród kobiet i mężczyzn pełnych oczekiwań, roszczeń, pretensji, że się należy także wieczna młodość.

Wieczna młodość zawsze kusi.

To labiryntowe zapętlenie: ma początek, a nie ma końca poprawianie swojego wyglądu w gabinetach medycyny estetycznej. I co to da? Aktorka, która poprawia się za bardzo, traci pracę. Gdy dane mi było dostać się do kina polskiego, to zaczęłam grać role kobiet starszych ode mnie – i tak jest do dzisiaj. Jak ja bym się odmłodziła, to bym straciła robotę.

Pani zdaje się pyta, jak się czuję w swoim wieku? Tak, starzeję się. Im więcej pracuję, tym muszę więcej wypoczywać. Od czasu klimakterium wszystko słabnie, organy muszą się dłużej regenerować. Już nie jestem Olą, tylko Aleksandrą... (*śmiech*) Jak Aleksandra przesadzi ze zbyt długą jazdą autem albo z pracą dzień po dniu, to zaczyna boleć ją kręgosłup, gorzej śpi, pękają jej paznokcie i częściej płacze.

A jak Aleksandra radzi sobie z przemijaniem?

Wszystko odbywa się dokładnie o ustalonym czasie. Późno zaistniałam w polskim kinie. Na Festiwalu w Gdyni, za sprawą „Ostatniej rodziny”, byłam po raz pierwszy w wieku 50 lat – i tak miało być. Odebrałam tam nagrodę za pierwszoplanową rolę kobiecą Zofii, potwierdzoną Orłem. Potem posypały się kolejne propozycje. Zaczęłam jesienią tego roku uczyć w Szkole Filmowej w Łodzi. To dla mnie bardzo ważne. Zaczęłam „oddawać” to, co umiem.

I piszę pierwszą książkę w życiu. Tytuł: „Anyżowe dropsy”, premiera wiosną przyszłego roku. Rok z życia kobiety, którą jestem. O czym? O otwieraniu i zamykaniu oczu. W sensie dosłownym i metaforycznym. Oczy zamknięte – nieświadomość, zabawa. Oczy otwarte – świadomość, ciężar. Tak najprościej ujmując. Myślę sobie, że w ogóle dobrze, że to wszystko przyszło. Przecież kto komu gdzie i kiedy dał gwarancję na sukces, na bogactwo, na zdrowie?

Czy ktoś Pani powiedział, że będzie noszona na rękach? Mnie nikt (*śmiech*).

A jeśli sukces przychodzi, to wspaniale. Cieszę się nim jak mała Ola (*śmiech*). Bogactwo i trudy mojego dotychczasowego życia spływają teraz w moje role. Czy to nie jest piękne?

© Rozmawiała

KATARZYNA KUBISIOWSKA